

W tej książce jest wszystko. Humor, serce i bohaterka,
której kibicowałam z całych sił.
COLLEEN HOOVER

Miłość *mojego* (nie), życia



KIRSTY GREENWOOD

KIRSTY GREENWOOD

Miłość
mojego
(nie),
zycia

PRZEŁOŻYŁA

Małgorzata Fabianowska



TYTUŁ ORYGINAŁU:
The Love of My Afterlife

Redaktorka prowadząca: Ewa Pustelnik
Wydawczyni: Maria Mazurowska
Redakcja: Ida Świerkocka
Korekta: Paulina Kawka
Opracowanie graficzne okładki: Wojciech Bryda
Projekt okładki i ilustracje: Vi-An Nguyen
Ilustracje na stronach rozdziałowych: © Desenarrt/Adobe Stock
DTP: pagegraph.pl

Copyright © Kirsty Greenwood, 2024
Novelicious Books Ltd.

Copyright © 2024 for the Polish edition by Wydawnictwo KobiECE
Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Małgorzata Fabianowska, 2024

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I
Białystok 2024
ISBN 978-83-8371-362-5

Grupa Wydawnictwo KobiECE | www.WydawnictwoKobiECE.pl





Rozdział pierwszy

Niemożliwe, żebym w ten sposób umarła.

Nie, nie mogę tak umrzeć.

Naturalnie nie każda kobieta ma szczęście umrzeć w stylu tej damy z *Titanica*, zapadając w błogi, wieczny sen, ze wspomnieniem, jak kochała się z Leo di Caprio, osładzającym jej odejście. Ale zadławić się na śmierć w wieku dwudziestu siedmiu lat? No nie, Delphie.

Kiedy walczę o oddech, odnoszę wrażenie, że mój mózg, niezdolny wykombinować, jak wyrwać mnie z tego koszmaru, zastępczo koncentruje się na upokarzających okolicznościach całego wydarzenia.

Po pierwsze, dławię się burgerem. Nie żadnym wymyślnym czy domowym, lecz tanim, do odgrzania w mikrofalach, który kupiłam w sklepiku na rogu, wracając z pracy. Po drugie, ubranie, które mam na sobie: soczyście zielone skarpety, zestawione z najgorszą z moich piżam – spranym, parę numerów za dużym koszmarkiem, z uśmiechniętą gwiazdą rodem z kreskówek i hasłem: „KOCHANA, CZAS ZABŁYSNAĆ!”. Mój telewizor jest zapauzowany w jednej czwartej *Oszusta* z *Tindera*, a ekran laptopa wypełnia strona z Google’a z pytaniem, które zadałam: „Czy w burgerach do mikrofal jest prawdziwe mięso?”.

I kto mnie teraz znajdzie? Cooper, mój paskudny sąsiad z dołu (który z pewnością skrzywiłby się na widok mojej piżamy)? Policjanci? Przeszukają moje rzeczy, żeby sprawdzić, czy śmierć przypadkiem nie nastąpiła z przyczyn naturalnych. Mieliby kłopot przy ustalaniu potencjalnych podejrzanych i ich motywów, bo w całym Londynie znałam tylko trójkę ludzi – Leanne i jej mamę z apteki, w której pracowałam, oraz starego pana Yoon, sąsiada z mieszkania obok.

O Boże, a jeśli właśnie pan Yoon mnie odkryje? Nie, tylko nie to. On ma słabe serce, może nie wytrzymać takiego widoku. Kochany pan Yoon! Kto, kiedy mnie zabraknie, będzie sprawdzał, czy dokładnie zgaślił papierosa przed położeniem się do łóżka? I kto mu będzie robił śniadania inne niż nudne pełnoziarniste płatki, smakujące jak tektura?

Na myśl o panu Yoonie, smętnie pochylonym nad miseczką płatków, rzucam się brzuchem na siedzenie rozklekotanego kuchennego krzesła, w próbie samodzielnego wykonania rękoczynu Heimlicha. Widziałam, że tak zrobiła Miranda w *Seksie w wielkim mieście* – i przeżyła, wstrząśnięta tym doświadczeniem i zarazem mądrzejsza o nie.

Parę razy padam przeponą o krzesło, a potem splatam ręce i walę się w brzuch. Ups. I nic. A może uderzam nie w to miejsce, co trzeba? Powtarzam więc zamach, tylko celuję nieco niżej. I jeszcze raz, ale nieco wyżej. Nie działa! Ten kęs bułki i zapewne nieprawdziwego mięsa utkwiał mi w tchawicy i zaczynam się bać, że już tam zostanie.

Przerzucam się z jednej strony mojego maleńkiego salonu na drugą w poszukiwaniu czegokolwiek, co mogłoby mi pomóc. Ulubiona bejsbolówka Broad City, wisząca na wieszaku przy drzwiach wejściowych? Nic mi nie da.

Nieotwarte pudełko pisaków Blackwing na kuchennym stole? Rób coś, Delphie! Mój wzrok zatrzymuje się na telefonie, który utkwiał w szparze kanapy. Chwytam go, żeby zadzwonić po pogotowie, ale ręce tak mi drżą, że komórka wymyka się z palców. Upada na podłogę i utyka pod szafką telewizyjną, dostając się w towarzystwo kurzu oraz tabletki antydepresyjnej, która upadła mi w zeszłym miesiącu, potoczyła się tam i nie chciało mi się jej wyciągnąć.

Aaach. Wszystko ciemniej na marginesach mojej wizji. Język, jakiś dziwny, ciężki, wypada mi z ust. Język wypada mi z ust? Kolana uginają się pode mną i dramatycznie walę się na ziemię; głowa z głuchym stukiem opada na cudownie miękkie, pasiasty dywan, na który oszczędzałam przez ostatnie trzy miesiące.

O Boże.

Myślę... Czy to już to?

Mój wielki finał.

Koniec daty ważności.

To Koniec.

Tu spoczywa Delphie Denise Bookham.

Umarła tak jak żyła – samotna, zaskoczona, koszmarnie ubrana.

– Otwórz oczy... Tak. Już czas... Czas się obudzić... Och, jesteś! Cześć, kochana.

Obcy głos należy do kobiety; lekka, melodyjna irlandzka nuta łagodzi jego brzmienie. Otwieram oczy. Kobieta uśmiecha się maniacko; mały, zadarty nos jest o centymetr od mojego. Przyglądam się jej. Kędzierzawe włosy koloru maślany blond ma związane wysoko w koński ogon.

Efektowny, złoty cień do powiek sprawia, że zielone oczy, którymi się we mnie wgapia, wydają się dwa razy większe. Pomarańczowa szminka znaczy jej duże zęby, nienaturalnie odsłonięte w dziwnym uśmiechu. Na moment zaciskam powieki. Czuję ucisk w brzuchu, kiedy dochodzi do mnie, że nie jestem tam, gdzie powinnam, czyli w moim mieszkanku, tylko siedzę na dziwnym plastikowym fotelu, z nogami na podnóżku z kwiecistym obiciem, jak jakaś babcia.

Gdzie ja jestem?

Nie wiadomo skąd dochodzi do moich uszu piosenka *Don't Worry, Be Happy* Bobby'ego McFerrina, brzmiąca dziwnie i nieziemsko, jak we śnie. Rozglądam się oszołomiona po pomieszczeniu o bladoniebieskich ścianach i widzę przed sobą rząd niebieskozielonych pralek, wirujących, bulgoczących i wypuszczających w równych odstępach obłoczki pary, pachnącej lawendą. Zaraz. Czy to pralnia? Ale co ja, do licha, robię w pralni? Skąd się tu wzięłam? I kiedy?

Nad pralkami wisi duże, oprawione w ramki zdjęcie kobiety w okularach, wykonującej gest uniesionych kciuków, z gigawatowym uśmiechem zwyciężczyni konkursu. Powracam spojrzeniem od wizerunku kobiety na ścianie do pierwotnego, przykucniętego przy moim fotelu. Kobieta promienieje, jakby mój widok totalnie ją zachwycił. I pokazuje mi kciuki, jak na fotografii.

Kim ona jest? Gdzie ja jestem? Och... och...

Mój spanikowany mózg odmawia mi pomocy w zadaniu tych pytań głośno.

– Sprytne, co? – Nieznajoma radośnie szczyrzy zęby. – Pralnia nikogo nie przeraża! Zderzenie obiektywnie przerażającego momentu z najbardziej uspokajającym miejscem, jakim jest samoobsługowa pralnia, wydaje się świetnym pomysłem.

Kiedy byłam młodsza i sprawy robiły się trochę... „Ach, życie jest ciężkie, bla, bla, bla”, szłam sobie do takiej najbliższej pralni i godzinami patrzyłam, jak wirują te bębny, w kółko i w kółko. Te wszystkie kwiatowe zapachy, te mokre odgłosy, są takie pocieszające, nie uważasz?

Odsuwam się odruchowo, kiedy kobieta gwałtownie wstaje z kućki i z dumą, szerokim gestem rąk, pokazuje na pomieszczenie, niczym prowadząca teleturniej, która ma za moment ogłosić główną wygraną.

– Niebieski kolor ścian jest taki sam, jak kolor nieba tuż przed zachodem słońca w ostatnim tygodniu czerwca. Cały wiek mi zajęło dobranie tego odcienia. Ten kolor farby, nazwany w palecie „Jajem Kosa”, został wycofany w dziewięćdziesiątym drugim. Na szczęście znałam faceta, który znał innego faceta, który znał tego faceta, co trzeba, no i wreszcie się udało. – Zaciska usta i wsuwa ręce w kieszenie musztardowych ogrodniczek, lekko kołyszając się na boki. – Szefostwo dość jasno dało do zrozumienia, że wolałoby bardziej elegancką i „profesjonalną” estetykę, ale im powiedziałam tak: „Panowie, nie możecie oczekiwać ode mnie, że będę wybitną Terapeutką Zaświatową, jeśli nie pozwolicie mi na pełną autonomię przy terapeutyzowaniu zmarłych. Sami pomyślcie, panowie...”. No idioci, po prostu wszędzie idioci! Ale odcień jest piękny, nie? – Ogarnia spojrzeniem ściany, wzdycha uszczęśliwiona i przygryza dolną wargę, ściągając z niej jeszcze więcej szminki. – Ściana zdaje się zmieniać kolor wraz z oświetleniem. Czasami jest pudrowo-fioletowa, czasami szaro-fioletowa, czasami dzinsowa. Jak oczy Jamiego Frasera. Znasz Jamiego Frasera? Z książek z serii *Outlander*? Co za jazda! Plasuje się w pierwszej dziesiątce moich fikcyjnych romantycznych bohaterów. A może nawet w piątce. Albo i na topie...

– Zmarł? – udało mi się wtrącić.

– O, tak... Ty też nie żyjesz, kotku. Przykro mi. – Pocieszając gładzi mnie po ramieniu.

– Co? Nie... Ja... Czy ja śnię?

Usiłuję zmusić swój mózg, żeby się obudził. To najdziwniejszy sen, jaki miałam, choć raz śniłam, że prowadzę podupadający salon fryzjerski z *Zakochanego kundla*.

– Udławiłaś się, pamiętasz? – nawija ta gaduła. – Burgerem z mikrofali. Notabene, one są z prawdziwego mięsa. Sto procent wołowiny, albo, jak ja to nazywam, *boeuf*. Ostatnio zaczęłam się uczyć francuskiego w przerwach pomiędzy pojawianiem się kolejnych klientów. Nie dlatego, że się tu nudzę albo coś takiego. W każdym razie nie do końca. Czy uważam, że mogłoby być lepiej? – Wzrusza gładkimi, opalonymi ramionami, lekko krzywiąc usta z jednej strony. – Jasne. Ale lepszy stały strumyczek Umarłych niż jakieś zasadzki, tak sadzę. „Umarłych?”

Czuje, jak skracają mi się wnętrzności, kiedy nagle sobie przypominam, co się stało w moim mieszkaniu. Zadławienie. Chwytam się ręką za gardło i zaczynam łapać powietrze.

– Och, nic się nie dzieje. Jesteś totalnie w porządku – uspokaja mnie kobieta i znów kuca, żeby patrzeć mi w oczy. – Wszystkie cielesne, fizyczne dolegliwości znikają w momencie przybycia tutaj. Jednak okres emocjonalnego przejścia od statusu żyjącego do nieżyjącego może być... trudny. I wtedy wkraczam ja. Jestem Merritt, mam dwadzieścia osiem lat – zawsze będę miała – i absolutnie uwielbiam jeść curry i czytać romanse. Jedno i drugie im pikantniejsze, tym lepsze. Jestem twoją osobistą Terapeutką Zaświatową.

Wysuwa rękę, żeby ucisnąć moją, i wtedy widzę, że każdy jej palec zdobi inny pierścionek. Jeden zabytkowy, z różą

z diamencików, inny z czarną emalią, z czaszką ze skrzyżowanymi piszczelami i z rubinami w oczodołach. Na kciuku ma srebrną obrączkę z cytatem z Jane Austen: PÓŁ ROZPACZ, PÓŁ NADZIEJA. Zupełnie jakby zanurzyła palce w kasetkę z łupem z biżuterii, nie dbając, co się na nie wsunie. Patrząc drętwą, jak ujmuję moją bezwładną dłoń, zwisającą z poręczy fotela, i potrząsa nią tak entuzjastycznie, że niemal tracę równowagę.

– Moim zadaniem jest ci pomóc, abyś jak najszybciej dostosowała się do nowej sytuacji, więc spróbuj nie panikować, pytaj o wszystko, co ci przyjdzie do głowy, i tak dalej. Będę twoim wsparciem i głównym łącznikiem z nową rzeczywistością. Dobrze brzmi? *Oui*?

Nie. Wcale nie brzmi dobrze. *Non*.

– Spokojnie, jestem świetna w swoim zawodzie – kontynuuję pogodnie Merritt. – Zaczynałam w Eonii – tak się nazywało to miejsce – mniej więcej pół roku po swojej śmierci. Obecnie jestem najmłodszą kobietą, która została pełnoetatową Terapeutką Zaświatową. Większość tego terapeutycznego zespołu to zgrzybiałe towarzystwo wzajemnej adoracji, od sześćdziesiątki wzwyż, ale po prostu miałam naturalne predyspozycje do tej roli. Poza tym jestem piekielnie ambitna.

– Pomocy – szepczę.

– Innym terapeutom to nie w smak: młoda kobieta ze świeżym spojrzeniem, burząca stare układy. Podbierają mi napływających Umarłych, zanim zdążę ich przejąć dla siebie. – Na moment przenosi spojrzenie na swoje stopy. Dopiero teraz zauważam, że są bose, a paznokcie u nóg ma pomalowane w kolorze coca-coli. – Gdyby mi dano szansę, robiłabym tu świetną robotę z każdym, kto się pojawi – mruczy z irytacją. – Ale nie chcę cię zanudzać. Chodzi o to, że dwójka tych starych

pierdzieli poszła na urlop i dzięki temu przejęłam ciebie! Od tygodnia nie miałam nowego przybycia! Brawo ja! I oczywiście brawo ty. Dla mnie bomba.

Patrzę tępo, jak Merritt rusza do drzwi w drugim końcu pomieszczenia, niedostrzegalnym ruchem wskazującego palca dając mi znak, żebym szła za nią.

– Dokąd... my idziemy? – pytam i tak się trzęsę, że słowa wypływają ze mnie jak wibrato tak szybkie, jak u Jessie J.

– Do mojego biura, a dokąd? Przecież nie zarejestruję cię w pralni, nie? A co jeśli kolejny Umarły pojawi się, gdy będziesz w trakcie odpowiedzi na jakieś osobiste pytanie? Głupia sytuacja, nie? Jedno można było o mnie powiedzieć tam, na ziemi – że zawsze byłam bardzo profesjonalna. Prywatność nade wszystko. Nie martw się. Jestem przy tobie, kochanie. *I got you, babe.* – To ostatnie nuci głosem Cher.

Merritt otwiera przede mną drzwi i z pewną ulgą stwierdzam, że za nimi jest całkiem miłe, relatywnie normalnie wyglądający gabinet. Wszędzie świece i różowawy, ciepły blask ich płomieni. Pośrodku króluje biurko ze szklanym blatem, zastawione bibelotami: trzema roślinami w rozkwicie, japońskim kotem maneki-neko, machającym łapką i mającym przynosić szczęście, oraz pustym organizерem – bo pisaki, które miały być w niego wetknięte, leżą rozrzucone na blacie. Na przeciwległej ścianie do sufitu piętrzą się regały, wypełnione książkami z grzbietami układającymi się w kolory tęczy. Mam wrażenie, że to same romanse. Tytuły w stylu: *Propozycja*, *Romans w Devon* i *Test na kandydatkę*. Merritt podąża za moim spojrzeniem i wybiera jedną z książek – ładne wydanie *Perswazji* Jane Austen w płótnie i w twardej okładce. Przyciska książkę do piersi i błogo przymyka oczy, jakby przytulała szczeniaczka.

– Możesz sobie wziąć do czytania wszystko, co chcesz – mówi, odkładając tom na półkę i miłośnie muskając palcami sąsiednie grzbiety.

– Um, dzięki.

Merritt wciąga powietrze nosem i głośno je wydycha.

– Róże i czarna porzeczką. Mój osobisty zapach. – Pokazuje na białą świecę, palącą się na drewnianym stolyczku. – Wspomniały, prawda? W Eonii mamy sklep Diptyque. *C'est magnifique*. Ooch, tobie też musimy dobrać twój osobisty zapach. Założę się, że jesteś dziewczyną wiciokrzewu, czyż tak? Wrażliwe serce, skłonność do introspekcji, bogate wnętrze. Pokłady uczuć, kłębiących się pod powierzchnią.

Mrugam zdeorientowana. Co tu się, kurwa, dzieje? Co to za miejsce?

Merritt posyła mi uśmiech pełen życzliwości.

– Okej, widzę, że jesteś zdeorientowana, co... absolutnie nie rozumiem. Zgoda, sytuacja jest idiotyczna. Kiedy po raz pierwszy tu trafiłam, totalnie się poryczałam. Może usiądź sobie wygodnie i odpręż się przez chwilę.

To mówiąc, pokazuje na obrotowy fotel, obity skórą, stojący przy biurku, ale zanim usiądę na nim, energicznie składa dłonie.

– Dobrze! Znakomicie. W porządku. – Chwyta z biurka podkładkę z klipsem i wkłada do niej czystą kartkę. – Pierwsze pytanie brzmi... Czy chcesz, aby twoje życie wyświetliło ci się przed oczami?

– Słucham? – Zęby zaczynają mi szczekać.

– Zapytałam: „Czy chcesz, aby twoje życie wyświetliło ci się przed oczami?”. Dotąd nie oferowaliśmy tej usługi, ale oczywiście Hollywood wytworzył w ludziach przekonanie, że w momencie śmierci przewinie im się przed oczami film z całego życia. I chociaż lubię takie utarte stereotypy, ten akurat

nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Zdarza się, że Umarli narzekają, że tego nie doznali, włączyliśmy więc taką pozycję do naszej oferty na życzenie klienta. Zatem jak zechcesz, nie nalegam.

Zimno mi. Dlaczego tak tu zimno? Mój wzrok pada na puszysty koc, przerzucony przez oparcie innego fotela. Sięgam po niego i otulam się nim ciasno, aż po brodę.

– No więc... życzysz sobie, czy nie? – powtarza Merritt, postukując paznokciem w kartkę.

– Um... eem... – Jąkam się, skubiąc róg koca. – Czy mogę już iść do domu?

Merritt lekko wzdycha.

– Czy możemy uzgodnić pokaz filmu z twojego życia? To jedyna szansa, abyś mogła to zobaczyć. Jeśli teraz ci go nie pokażę, a później zmienisz zdanie, nic już się nie da zrobić i możesz być na mnie zła, ale to byłby niedobry wstęp do wiecznej przyjaźni.

Gapię się z rozdziawionymi ustami na Merritt, która znikła na zapleczu i za moment wytacza stamtąd biały, metalowy wózek, na którym ustawiono duży, szary telewizor z lat dziewięćdziesiątych i odtwarzacz DVD.

– To nie potrwa długo – zapewnia. – Pokażemy momenty, które wydają się nam najważniejsze, bo inaczej film miałby straszliwe dłużyzny. Choć mamy do dyspozycji całą wieczność, nawet nam szkoda czasu na takie zagłębianie się w siebie. Rozumiesz – co było, to było, no nie?

Oszołomiona patrzę, jak Merritt wciska klawisz. Czy kase ta już jest w odtwarzaczu, czy to tylko rekvizyt? Jestem kompletnie skołowana.

– Proszę, jest! – mówi moja terapeutka. – Delphie Denise Bookham. Takie było... TWOJE ŻYCIE!



*Sięgnij po
więcej!*



 www.wydawnictwokobiece.pl

 [kobiece](#)

 [wydawnictwo.kobiece](#)